

NADCHODZI REWOLUCJA ŻYCIA - Thomas Hilgers

Dodane przez: Redakcja Fronda.pl | 28.01.2013
Rozmawiał Tomasz P. Terlikowski

Gdy przeczytałem 7 paragraf „Humanae vitae” od razu zrozumiałem, że Kościół nie może nauczać niczego innego, że on musi głosić to, co głosi. Bardzo mocno poruszył mnie też fragment, w którym Paweł VI otwarcie i wprost zaapelował do naukowców i lekarzy, by zajęli się poważnymi badaniami w tej sprawie. Miałem wrażenie, że papież mówi do mnie: ej, ty, Thomas, zajmij się tym. I zajęłem się tym. To było dla mnie zupełnie oczywiste, że muszę coś z tym zrobić - opowiada o początkach NaProTechnology Thomas Hilgers.

Dlaczego jest Pan katolikiem?

Urodziłem się w rodzinie katolickiej.

I to jedyny powód, dla którego jest Pan katolikiem?

Oczywiście nie. Jeszcze w college'u wiele myślałem o kwestiach religijnych i obyczajowych. Zastanawiałem się nad rozwodami, stosunkami przedmałżeńskimi. Wie-

działem, że Kościół jest im przeciwny, ale nie wiedziałem dokładnie dlaczego. Po kilku latach rozmyślań i poszukiwań doszedłem do wniosku, że Kościół ma w tych sprawach rację. I dlatego, gdy pojawiła się encyklika Pawła VI „Humanae vitae”, to natychmiast ją kupiłem, przeczytałem, i bez problemów zaakceptowałem jej treść.

A skąd brało się to przekonanie, o którym pan wspomniał, że nauczanie w sprawie antykoncepcji się zmieni?

Tak wtedy myśleli wszyscy. Nie istniały źródła, które pozwalały się dowiedzieć, czym antykoncepcja jest naprawdę. Wszyscy ją popierali. Telewizja, media, lekarze – wszyscy zachwycali się antykoncepcją. W tej sprawie zresztą niewiele się do chwili obecnej zmieniło. Ale, gdy przeczytałem 7 paragraf „Humanae vitae” od razu zrozumiałem, że Kościół nie może nauczać niczego innego, że on musi głosić to, co głosi. Bardzo mocno poruszył mnie też fragment, w którym Paweł VI otwarcie i wprost zapelował do naukowców i lekarzy, by zajęli się poważnymi badaniami w tej sprawie. Miałem wrażenie, że papież mówi do mnie: ej, ty, Thomas, zajmij się tym. I zajęłem się tym. To było dla mnie zupełnie oczywiste, że muszę coś z tym zrobić. Nie wiedziałem wówczas, że powstanie NaProTechnology, ale wiedziałem, że muszę odpowiedzieć na wezwanie papieża.

To był pan wyjątkiem, bo w Stanach Zjednoczonych ta encyklika wywołała skandal. Część teologów protestowała przeciwko niej, biskupi oficjalnie odrzucali jej nauczanie. A dla Pana – młodego katolika – wszystko było oczywiste?

Może dlatego, że ja już sześć lat wcześniej intensywnie rozmyślałem o antykoncepcji, analizowałem wszystkie za i przeciw, i choć sądziłem – jak wielu ówczesnych katolików – że Kościół zmieni swoje nauczanie w tej kwestii, to po lekturze „Humanae vitae” natychmiast nawróciłem się na myślenie papieskie. Ale rzeczywiście nie było to typowe dla wielu amerykańskich katolików, także kapłanów. Pamiętam, że kapłan, do którego poszedłem, by zapytać się, gdzie mogę kupić encyklikę, powiedział mi: „co ci wpadło do głowy, żeby czytać takie śmieci”. To nie było szczególnie zachęcające.

A potem było lepiej?

Tylko gorzej. Można powiedzieć, że w Kościele amerykańskim wybuchł zorganizowany bunt, który został przygotowany zanim opublikowano encyklikę. Na jednym ze spotkań, które przygotował ojciec Charles Curran, a w którym uczestniczyło setki teologów, tylko jeden odważył się opowiedzieć po stronie Pawła VI...

Opowiada Pan o buncie wśród katolickich elit, duchownych, niekiedy biskupów, a jak to wyglądało wśród zwyczajnych wierzących? Jak Pana znajomi, przyjaciele zareagowali na ten dokument?

Uznawali, że używanie antykoncepcji to sprawa ich własnego sumienia, i że stanowisko papieskie ich nie dotyczy. A kiedy zaczęli rozmawiać o tym z księżmi, to oni im taką opinię potwierdzali. Podobnie było zresztą z lekarzami, tylko nieliczni mieli w sobie dość odwagi, determinacji i wiedzy, by zachować wierność nauczaniu Pawła VI, większość jednak – i mówię tu o praktykujących katolikach – zaczęła przepisywać antykoncepcję.

Czy można to zjawisko określić, za ks. Johnem Richardem Neuhauserem, „cichą schizmą”?

Nie wiem. Używa się tego terminu, ale ja mam wrażenie, że u większości katolików to odejście wynikało ze zwykłym niewiedzy, a nie ze świadomego odrzucenia wiary.

To można powiedzieć o świeckich, ale nie o biskupach czy kapłanach?

Myślę, że i w ich przypadku często mieliśmy do czynienia z ignorancją. Wielu księży, a nawet teologów w ogóle nie czytało encykliki. Oni zaufali ojcu Curranowi, uznali jego autorytet i zaczęli głosić jego poglądy. Jest jednak faktem, że z tego gigantycznego upadku wiary, dopiero się wyczołgujemy, powoli przewyciężamy antykonceptyjny sposób myślenia, także wśród katolików.

Jeśli było tak źle z recepcją „*Humanae vitae*” w Kościele, to jak wyglądał stosunek do Pana badań nad naprotechnologią wśród duchownych czy biskupów? Czy mieliście ich poparcie?

Mówiąc szczerze dopiero niedawno pojawili się księża, którzy nas wspierają. Jednak w latach 70. i 80., a nawet 90. byliśmy takiego wsparcia pozbawieni. Było kilku biskupów czy kardynałów, którzy wspierali nas moralnie i odrobinę finansowo, ale nie mogę powiedzieć, by Kościół hierarchiczny, szczególnie na poziomie księży, rzeczywiście nas popierał.

Jak do badań pana profesora podchodzili lekarze?

Oni – szczególnie ci starsi – ze mną nie rozmawiają, udają, że nie istnieję. Trochę lepiej wygląda sprawa z młodszymi. Oni coraz częściej chcą rozmawiać, sprawdzać,

badać. To samo dotyczy zresztą młodych kapłanów. To pokazuje, że dokonała się ogromna zmiana, i w ciągu pięciu, może dziesięciu lat możemy spodziewać się rewolucji w podejściu do NaProTechnology® i naszych badań. Tę przemianę zawdzięczamy teologii ciała Jana Pawła II. Budzący się entuzjazm, także dla naszych badań, to odpowiedź na to, o czym mówił papież w „Katechezach o małżeństwie i rodzinie”. Trochę trwało zanim wszyscy poznali to nauczanie, ale wśród młodych katolików ono już jest oczywistością, która zmienia ich spojrzenie na świat i życie. Warto też uświadomić sobie, że wielu niekatolików przystępuje do Kościoła katolickiego ze względu na nauczanie „Humanae vitae” Pawła VI i teologię ciała Jana Pawła II.

Mówiliśmy o antykoncepcji czy stosunku do naturalnego planowania rodziny, ale początek pracy lekarskiej pana profesora, to czas, gdy w Stanach Zjednoczonych zalegalizowano – za sprawą decyzji Sądu Najwyższego w sprawie Roe kontra Wade – aborcję. Czy miał Pan w związku z tym, jako młody ginekolog problemy z tą nową sytuacją?

Gdy byłem na pierwszym roku stażu ginekologicznego w stanie Nowy Jork zalegalizowano aborcję. Ono miało zostać wprowadzone w życie 1 lipca 1970 roku. Jednak w Rochester, gdzie odbywałem staż, już w marcu zaczęto wykonywać zabiegi. Tego

się zupełnie nie spodziewałem. Kiedyś przyszła do mnie pacjentka, która opowiedziała mi o tym, że chce usunąć ciążę. I ja miałem odebrać od niej wywiad medyczny i przygotować dokumentację. Ona mi powiedziała, że to Bóg ją doprowadził do lekarza, który wykonał na niej aborcję. Uświadomiłem sobie wtedy, że to nie jest ten sam Bóg, w którego ja wierzę. Zgłosiłem się do kierownictwa szpitala i powiedziałem, że od tego momentu nigdy nie będę uczestniczył w żadnych działaniach, które mogą doprowadzić do aborcji. Od tego momentu uświadomiłem sobie, że muszę walczyć o życie, zaangażować się w ruch *pro life*. Przez trzy lata tak było. Ale gdy Sąd Najwyższy wydał decyzję w sprawie Roe kontra Wade, a ja wydałem książkę pod tytułem „Aborcja i sprawiedliwość społeczna” zaczęły się problemy. Pozostało mi wówczas sześć miesięcy do zakończenia programu badawczego, ale szefostwo chciało, by ostatecznie badania przeprowadził już w placówce, która standardowo prowadziła zabiegi aborcyjne. Odpowiedziałem, że nie mogę tam pracować, bo nie akceptuję aborcji. Przełożeni odrzucili jednak mój sprzeciw sumienia. Musiałem zrezygnować ze stażu naukowego i zacząłem szukać nowego miejsca zatrudnienia. Na szczęście udało mi się zaangażować w szpitalu w Toledy w stanie Ohio, gdzie pracował lekarz, który także był *pro life*. Ta zmiana oznaczała jednak, że zamiast sześciu miesięcy musiałem się uczyć kolejny rok. Wtedy zostałem powołany do US Navy, w której szpitalach także wykonywano już aborcję. I ponownie musiałem odmówić ta-

kich zabiegów, przeszedłem przez całą procedurę „niezgody sumienia” i byłem chyba jedynym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych, którą zwolniono ze służby wojskowej ze względu na odmowę wykonywania aborcji. To było szaleństwo, bowiem, żeby uznać moje prawo do odmowy takich działań poddano mnie między innymi badaniom psychiatrycznym.

Dlaczego amerykańscy lekarze, którzy przez lata nie wykonywali aborcji, tak szybko zmienili w tej sprawie zdanie? Dlaczego tak łatwo podporządkowali się prawu, które było sprzeczne z etyką medyczną, z przysięgą Hipokratesa, którą składali?

Debata nad aborcją trwała u nas kilkanaście lat, więc trudno tu mówić o jakiejś szybkiej zmianie. W 1967 roku pierwszy ze stanów zalegalizował aborcję. Potem robiły to kolejne stany, ale ruch *pro life* kontraatakował i po jakimś czasie udało się mu zablokować kolejne zmiany prawne. I dlatego zwolennicy aborcji uznali, że aby trwale zmienić prawo muszą udać się do Sądu Najwyższego. Tam odnieśli sukces. Po sześciu latach od pierwszej decyzji prawnej. To pokazuje, że zanim lekarze rzeczywiście musieli zacząć dokonywać kluczowych wyborów, wsłuchiwali się w kilkuletnią deba-

tę. Młodszy z nich zaś byli już formowani na uniwersytetach, na których aborcyjna lewica miała przewagę.

Ta dyskusja zmieniła opinię publiczną, ale co zmieniło lekarzy?

Lekarze są częścią opinii publicznej. Jeśli zmienia się klimat społeczny, to zmieniają się i lekarze. Trzeba też powiedzieć, że lekarze zazwyczaj nie są liderami, rzadko mają odwagę do przewodzenia czy sprzeciwiania się większości. Oni raczej idą tam, gdzie wszyscy, niż próbują zawrócić ludzi ze złej drogi. Powód jest bardzo prosty. Lekarze w Stanach Zjednoczonych są grupą bardzo zajęta, nie mają czasu na jakieś własne przemyślenia, lektury, analizy, więc przyjmują to, co się im podaje.

Ale przecież oni musieli wiedzieć, co robią, musieli – choćby ze studiów – wiedzieć, na czym polega aborcja, którą zaczęli wykonywać?

Wiedzieli, ale nie miało to dla nich znaczenia. Łamanie sumień lekarskich zaczęło się zresztą nie od aborcji, a od antykoncepcji. Gdy pojawiła się pigułka część z lekarzy zaczęło odmawiać jej przepisywania, powołując się na klauzulę sumienia. I wtedy zaczęto ich do tego przymuszać, przekonując, że gdy kobieta podejmie taką decyzję, lekarz nie ma prawa jej odmówić. Wielu się na to zdecydowało, choć w istocie ozna-

czało to, że lekarz rezygnować z własnych postaw moralnych. Podobny mechanizm zastosowano również w przypadku aborcji. Dopiero po kilku latach od jej legalizacji lekarze otrzymali realne prawo odmowy.

A czy Pan miał, poza wyrzuceniem ze stażu i z US Navy, jeszcze jakieś problemy związane z tym początkowym brakiem klauzuli sumienia w amerykańskim prawie?

Opowiadanie o nich zajęłoby mi kilka dni. To był dla mnie bardzo trudny czas. Zawsze kiedy to wspominam, płaczę. Wielu ludzi nie chce wierzyć w to, co się wtedy działo... Wyrzucano nas z pracy, ośmieszano, odrzucano, dyskryminowano, porównywano do komiwojażera, wyzywano. To była trudna walka z kierownictwem klinik, innymi lekarzami, firmami ubezpieczeniowymi. Często byłem w tej walce zupełnie samotny, bo wśród lekarzy i personelu medycznego w Stanach Zjednoczonych było wówczas bardzo niewielu obrońców życia. Wśród ludzi, z którymi pracowałem tylko ja byłem za życiem. I nie ukrywam, że to był ogromny problem. Jedynym wsparciem była dla mnie wtedy żona. To, co daje nadzieję to fakt, że teraz lekarze broniący życia nie muszą już przez to przechodzić.

Jak pan przez to przeszedł?

To była wielka próba wiary. Ale jeśli się wierzy to naprawdę można przejść i przez taką próbę.

A księża pomagali, wspierali?

Nie było ich wówczas...

Aborcja, antykoncepcja, sterylizacja – to wszystko są już zabiegi niemal standardowe w ginekologii... Lekarze tej specjalizacji coraz rzadziej leczą, a coraz częściej – na wszystko niemal – przepisują pigułkę antykoncepcyjną. Czy nie ma Pan profesor czasem takiego wrażenia, że to właśnie tak sławiona przez media pigułka zabiła lub przynajmniej zabija współczesną ginekologię?

Ona zabiła myślenie. Ginekolodzy przestali myśleć, a zamiast tego zapisują pigułkę antykoncepcyjną na wszystko. Tak jakby było to jakieś cudowne panaceum. A ona nie leczy niczego.

Kobiety, ich lekarze zresztą także, odpowiedzą, że to nieprawda, bo dzięki pigułce ich miesiączki przestają być bolesne, znika trądzik, a niekiedy także inne nieprzyjemne objawy... A zatem ona działa.

Nie, bo gdy tylko odstawimy środek antykoncepcyjny objawy powrócą. Pigułka bowiem nie leczy przyczyn, nie szuka powodów objawów, a jedynie je usuwa.

Ale dla lekarza to jednak jest „cudowna pigułka”, bo bez specjalnego wysiłku, a jedynie wypisując receptę pozbywa się problemu.

To prawda, ale to jest medycyna prostacka. Nie po to uczyliśmy się wiele lat, żeby teraz wyłącznie przepisywać pigułkę. To nie ma sensu. A do tego nie można zapominać, że antykoncepcja ma także skutki uboczne. Lecząc trądzik antykoncepcją możemy doprowadzić do zatoru, i w konsekwencji do śmierci pacjentki. I tego nie można lekceważyć...

A można rzeczywiście leczyć kobiety, bez pigułki? Wielu lekarzy, także wierzących i odrzucających działania antykoncepcyjne, przekonuje, że nie są w stanie leczyć bez odwołania się do pigulek w innych niż antynatalistyczne celach.

Jeśli tak mówią, to dlatego, że nie znają NaProtechnology®. W naszym systemie wszystko można wyleczyć bez zastosowania antykoncepcji. Każda jednostka chorobowa może być leczona bez jej stosowania. Jest jednak prawdą, że łatwiej i szybciej jest podać pigułkę, która usuwa te objawy. W tej chwili, w Stanach Zjednoczonych,

większość pigułek jest sprzedawanych z przyczyn zdrowotnych, a nie z powodu ich działania antykoncepcyjnego. Ale to jest błąd, bo pigułka nie leczy, a jedynie czasowo usuwa symptomy.

I do tego, nawet jeśli jest stosowana z przyczyn zdrowotnych, to i tak zachowuje, o czym nieczęsto się przypomina, działanie wczesnoporonne.

Tak rzeczywiście bywa.

W sprawie antykoncepcji stosowanej zdrowotnie jest Pan profesor bardziej radykalny niż Kościół, bowiem większość jego przedstawicieli pozwala na jej zdrowotne stosowanie.

Nie nazwałbym tego większym radykalizmem, ale po prostu większą świadomością problemu. Mam też wrażenie, że akceptacja dla „zdrowotnego” stosowania antykoncepcji, to spadek po latach 60. To wtedy wielu teologów przekonywało, że takie stosowanie antykoncepcji uzasadnia jej użycie. Wtedy też zaczęto masowo przepisywać kobietom pigułkę uzasadniając to względami medycznymi, bardzo zresztą różnymi, w istocie jednak chodziło tylko o to, by usprawiedliwić moralnie samo stosowanie pigułek, których głównym celem pozostawało przeciwdziałanie poczęciu. Ale pomi-

jając już kwestie teologiczne, to trzeba powiedzieć, że antykoncepcji nie należy przepisywać, bo niczego ona nie lecz, a jedynie szkodzi. Ginekologia zaś, która to robi, to po prostu zła medycyna.

Odpowiedzią na tą złą medycynę ma być NaProTechnologia, która nie stosuje środków antykoncepcyjnych, szuka przyczyn i leczy. Jak Pan profesor wyobraża sobie jej przyszłość, w sytuacji, gdy świat, także świat nauki i medycyny idzie w zupełnie innym kierunku?

Mnie już teraz zaskakuje dynamiczny rozwój NaProTechnology®. Nie spodziewałem się tego, ale to utwierdza mnie w przekonaniu, że nie ma granic, których nie możemy przekroczyć. To myślenie o medycynie jest tak rozsądne, że w naturalny sposób będzie się ono rozwijać. I mam nadzieję, że w końcu doprowadzimy do tego, że przemysł in vitro zbankrutuje. Odkrycia w dziedzinie prawdziwego leczenia niepłodności sprawią bowiem, że nie będzie powodów, by odwoływać się do tej metody.

A pracownicy tego sektora nawrócą się na NaProTechnologię?

Raczej wymrą. A na poważnie, trzeba powiedzieć, że w historii medycyny popełniono wiele błędów, z których się później wycofywano. In vitro jest właśnie takim błę-

dem, tak jak aborcja. Nie mam wątpliwości, że ten błąd zostanie porzucony, a jego wyznawcy wymrą.

I w przyszłości będziemy myśleć o aborcji i zapłodnieniu in vitro, jak teraz myślimy o eksperymentach medycznych w obozach koncentracyjnych?

Tak.

Za naszego życia?

Tak powinno być, ale czy tak będzie, nie wiem.

To może chociaż nasze wnuki będą mogły zobaczyć Muzeum Aborcji, jak teraz amerykańskie dzieci mogą oglądać Muzeum Holokaustu?

Mam nadzieję, że pewnego dnia tak będzie. Były dwie rzeczy, które uniemożliwiły Niemcom dostrzeżenie tego, co się działo w III Rzeszy, pierwszą z nich były media, drugą uniwersytety. I w Stanach Zjednoczonych z tych samych powodów – mediów i uniwersytetów – nie jesteśmy w stanie dostrzec dramatu dehumanizacji wspieranego przez elity intelektualne. Ale to nie może przetrwać.

W tej rozmowie często stwierdza Pan, że młode pokolenie – młodzi lekarze, młodzi księża – są inni, bardziej otwarci na życie. Z czego to wynika?

Z pontyfikatu Jana Pawła II. On był papieżem tego pokolenia. On miał charyzmę, która porywała, przyciągał więcej osób niż gwiazdy rocka i głosił im prawdę.

Jednym słowem wygramy?

Nie wiem, czy na tym świecie, ale w Niebie zwyciężymy na pewno.

Rozmawiał Tomasz P. Terlikowski

Tekst ukazał się w 65 numerze kwartalnika "Frona", który wciąż jest do nabycia w dobrych księgarniach.